

Maciej Śluziński

Przypadkowy detektyw



RW2010

MACIEJ ŚLUŻYŃSKI
PRZYPADKOWY DETEKTYW

Oficyna wydawnicza RW2010 Poznań 2017
Redakcja: Joanna Łukowska
Korekta: Robert Wieczorek
Redakcja techniczna: zespół RW2010
Copyright © Maciej Śłużyński 2017
Okładka Copyright © Mateusz Śłużyński 2017
Zdjęcie na okładce © XtravaganT / Fotolia.com
Zdjęcie na okładce © grandfailure / Fotolia.com
Copyright © for the Polish edition by RW2010, 2017
Wydanie I

ISBN 978-83-7949-217-

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie całości albo fragmentu – z wyjątkiem cytatów w artykułach i recenzjach – możliwe jest tylko za zgodą wydawcy.

Aby powstała ta książka, nie wycięto ani jednego drzewa.

RW2010, os. Orła Białego 4 lok. 75, 61-251 Poznań
Dział handlowy: marketing@rw2010.pl
Zapraszamy do naszego serwisu: www.rw2010.pl

Patronat medialny:



ROZDZIAŁ PIERWSZY

„A chciałem się tylko oderwać...”

Dwa dni przed końcem roku dostaliśmy z żoną propozycję nie do odrzucenia. Dystrybutor książek, z którym współpracowaliśmy od kilku lat, chciał kupić nasze wydawnictwo, żeby rozbudować swój portfel, w którym były już drukarnia, hurtownia, centrum logistyczne oraz sieć księgarni, i zająć kolejny kawałek rynku. My doskonale pasowaliśmy do jego nowej układanki, znał nas, nasz styl pracy i naszą ofertę, wiedział, jak działamy i jakie mamy obroty, przynajmniej u niego w hurcie, więc zakładał, że gorzej raczej nie będzie. A własna marka wydawnicza to była dla niego jakaś tam nobilitacja, może nawet większy prestiż, i zarazem nowe szanse na rozwój w kierunkach do tej pory niedostępnych.

Zaproponowana suma była jak na polskie standardy całkiem niekiepska, warunki akceptowalne, do tego gwarancja zatrudnienia przez trzy lata dla nas obojga i dla całego zespołu, plus duża samodzielność w podejmowaniu decyzji. W zasadzie nic by się nie zmieniło, poza oczywiście jednym: przestalibyśmy być właścicielami, stając się dobrze opłacanymi, ale jednak pracownikami. Przynajmniej przez najbliższe trzy lata, bo na tyle opiewały kontrakty menadżerskie, przygotowane przez prawników naszych ewentualnych przyszłych partnerów. Co potem? Wolność albo bezrobocie – zależy, jak na to spojrzeć.

Przez cały styczeń kursowaliśmy między Poznaniem, Łodzią i Warszawą, ustalaliśmy szczegóły, negocjowaliśmy warunki, przedstawialiśmy plany i określaliśmy obszary, w których moglibyśmy się ewentualnie pokłócić, w sensie biznesowym rzecz jasna. W połowie lutego w zasadzie wszystko zostało dopięte, ale poprosiliśmy o dodatkowy tydzień do namysłu przed podjęciem ostatecznej decyzji. Tydzień bez rozmów, bez sal konferencyjnych, wykresów i tabel, rzucanych na ekran i komentowanych zawzięcie przez każdego, kto uważał, że ma coś do powiedzenia.

Wyjechaliśmy na ten tydzień w góry, żeby z dystansu spojrzeć na wszystko, co się działo przez ostatnie sześć tygodni, ale tak naprawdę żeby w ciągu dnia zmęczyć się porządnie na stoku, a wieczorami obgadywać różne mniej lub bardziej oczywiste aspekty transakcji. Zasadniczo byliśmy zdecydowani, zwłaszcza ja; w grudniu skończyłem pięćdziesiąt lat i najnormalniej w świecie czułem się zmęczony. Pracowałem przez trzydzieści lat bez przerwy i uważałem, że zamiast robić to, co muszę, pora zacząć robić to, co chcę. Aśkę musiałem trochę poprzekonywać. Na samym początku była niezdecydowana, w rozmowach brała udział niechętnie, nie angażowała się i zostawiała wszystko na mojej głowie, ale po przestudiowaniu na spokojnie, w zaciszu górskiego pensjonatu, kompletu dokumentów zaczęła się łamać. Kwota transakcji była co najmniej akceptowalna, choć – jak twierdziła – sprzedawaliśmy dziesięć lat naszego zawodowego życia, a takie coś ciężko wycenić.

Dlatego właśnie pod koniec lutego, kiedy zima na dobre rozgościła się w polskich górach, a my mieliśmy po dziurki w nosie nasiadówek i rozmów biznesowych, wybraliśmy się na tydzień do Szczyrku. Z Poznania wyjechaliśmy w niedzielę wczesnym wieczorem, a już w poniedziałek rano śmigaliśmy ze Skrzycznego. Żona na nartach, ja na desce. Pięć dni białego szaleństwa, zakończonego zakwasami u Aśki i lekkim niedosytem u mnie. Bo jeżdżenie po bardzo dobrze przygotowanych, ale jednak monottonnych i przewidywalnych stokach to nie jest mój sposób na przygodę. Freeride, chwila samotności, wyzwanie – tego mi było trzeba. I odrobiny ciszy oraz spokoju przy okazji, gdyż musiałem parę spraw przemyśleć. A konkretniej jedną, za to bardzo ważną. Co ja dalej będę robił? Te trzy lata na kontrakcie szybko zlecą – i co potem?

Aśka wiedziała bardzo dobrze, co zrobić ze swoim życiem po lepszej stronie pięćdziesiątki, tym bardziej że miała dopiero czterdzieści dziewięć lat. Za pieniądze ze sprzedaży kupimy przecież nasz wymarzony dom w otulinie Puszczy Zielonki, a ona będzie siedzieć na tarasie albo w salonie przy kominku i pisać swoje książki, na co przez ostatnie kilka lat najnormalniej w świecie nie miała czasu. Ja, mówiąc szczerze, bardzo jej zazdrościłem i też zaczynałem rozważać, czyby nie spróbować swoich sił w pisaniu, lecz ciągle się wahałem. Co tu kryć, zamierzałem się porwać na taki życiowy freeride, więc postanowiłem, że najpierw poprobuję na śniegu, a dopiero potem w codziennym życiu. No dobra, niezupełnie o to chodzi; po prostu mam taką metodę rozwiązywania problemów. Kiedy już zbiorę wszystkie dane, równo je sobie układam w głowie, tak żeby były widoczne dla mnie ze wszystkich możliwych i niemożliwych stron. A potem zajmuję się czymś innym, czymś absolutnie zupełnie innym. Wtedy włącza mi się podświadomość, czy coś równie tajemniczego, i kiedy wracam do problemu, już znam rozwiązanie. Nie mam pojęcia, jak to robią inni, ale u mnie taka metoda działa najlepiej.

Dlatego kiedy w piątek wieczorem, na dwa dni przed powrotem, Aśka przy kolacji powiedziała sakramentalne „tak”, ja dodałem swoje „ale”. Czyli „tak, ale jutro jadę w góry sam, tylko ja i deska, i tam sprawdzę, czy się sprawdzę w tej zupełnie dla mnie nowej sytuacji”. Ze zrozumieniem pokiwała głową i obiecała, że mnie nawet podwiezie aż do Milówki, czy gdzie tam będę chciał, żebym spędził cały dzień w samotności i poświęcił się swoim „bezmyślnym rozmyślaniom”, jak je nazywała, oraz śmiganiu po stokach, po których nikt normalny nie jeździ. Ona też postanowiła spędzić ten dzień w samotności. W pobliskim SPA umówiła się na serię zabiegów regenerujących, odmładzających, upiększających i ogólnie poprawiających nastroj każdej niewieście. Moja żona pod wieloma względami to wyjątkowa kobieta, ale pod tym akurat jest nieprzeciętnie przeciętna. Masaż stóp i obkładanie pleców ciepłymi kamieniami stanowiły dla niej kwintesencję relaksu, na który ostatnio niespecjalnie mogła sobie pozwolić.

W Polsce nie słyszałem o takich atrakcjach jak możliwość wynajęcia śmigłowca, dzięki któremu można polecieć i wylądować na jednym z dziewięciu, niepoznaczonych liniami wyciągów szczytów, gdzieś z dala od cywilizacji, a potem zostać sam na sam z górami, śniegiem i własną adrenaliną. Pozostawała życzliwość okolicznych mieszkańców, która wsparta drobnym datkiem na rzecz Państwowego Monopoli Spirytusowego zwykle gwarantowała podwózkę jakimś mniej lub bardziej oryginalnym środkiem transportu. Ale najpierw należało podjechać samemu jak najbliżej punktu startu i dopiero tam łapać okazję.

Ze Szczyrku ruszyliśmy zaraz po wczesnym śniadaniu, koło siódmej rano. Aśka dowiozła mnie naszym samochodem najpierw do Milówki, a potem jeszcze kawałek przez Rajczę i Ujsoły do osady Glinka, gdzie dotarliśmy krótko przed ósmą. Glinka to jest naprawdę dziura, choć trzeba przyznać urocza i bardzo malownicza, zwłaszcza zimą. Powiedziałbym, że to dziura wypoczynkowa; posiada nawet miejsce szumnie zwane „parkiem rozrywki”, acz szaleństw tam nie ma zbyt wielu dla wielbicieli zimowych atrakcji. Z basenu spuszczają wodę, a park linowy nie przyciąga turystów, bo też nie bardzo ma skąd ich przyciągać. Są też dwa gospodarstwa agroturystyczne, no i oczywiście kościół. Ale prawdziwym centrum kulturalnym jest sklep GS Samopomoc Chłopska, relikw zamierzchłej, słusznie minionej epoki, tak cudowny, że aż bajkowy; mały pawilonik w środku niczego. Przy nim się pożegnałem z żoną i umówiliśmy się, że odbierze mnie wieczorem po drugiej stronie pasma górskiego, gdzieś w Zwardoniu.

Ledwie zdążyłem oprzeć o ścianę sklepu swoją deskę i postawić obok plecak, w którym miałem kilka batoników, termos z kawą, buty do deski, raki, jakieś narzędzia i kilka drobiazgów, kiedy usłyszałem dość charakterystyczny warkot. Od strony granicy ze Słowacją, odległej o cztery, może pięć kilometrów, nadjeżdżał ratrak z pługiem. Z fasonem zajechał pod sklep i wysiadło z niego dwóch tubylców, prawdopodobnie w celu oddania nadmiaru płynów, a potem uzupełnienia ich nie-

doborów w sklepie. Grzecznie czekałem, aż wyjdą z obiektu handlowego, i przystąpiłem do negocjacji; w tym byłem dobry, w końcu ćwiczyłem przez ostatnich parę tygodni. Okazało się, że dwaj brodaci džentelmeni odbierają właśnie zakupy ze sklepu i jadą przez Soblówkę najpierw do bacówki na Rycerzowej, później na przełęcz Przegibek, do schroniska PTTK, a potem jeszcze do jednego małego schroniska o wdzięcznej nazwie „Pod Lawiną”, gdzieś na wysokości Rezerwatu Śrubita, o ile dobrze zrozumiałem. Przedmiot negocjacji, czyli mała podwózka jednej osoby z plecakiem i deską snowboardową, był tak błahy, że po pięciu minutach doszliśmy do porozumienia. Kosztowało mnie to dwadzieścia złotych, ale pozwalało zaoszczędzić kupę czasu i zamiast mozolnego wspinania się zapewniało w miarę komfortowy transport na pierwszy z pobliskich szczytów.

Bacówkę na Rycerzowej znałem, na Przegibku też ze dwa razy byłem, ale o tym trzecim miejscu nigdy nie słyszałem, więc kiedy czekając na skompletowanie zakupów, raczyliśmy się herbatką z prądem, wyjaśnili mi, że to taka mała na wpół prywatna stacja, prowadzona przez małżeństwo przybyłe w te okolice pięć czy sześć lat temu, leżąca mniej więcej w połowie drogi z Przegibka do Wielkiej Raczy. Kiedyś był to obiekt studencki, ale żadnego studenta tam nie widziano od dwudziestu lat, więc został wystawiony na sprzedaż za symboliczną złotówkę i udział w zyskach z wynajmu pokoi. Znaleźli się wariaci, jakaś parka z Wrocławia, którzy zapragnęli pożyć w dziczy i głuszy, a że mieli trochę odłożonych pieniędzy, więc starczyło na niezbędne remonty i przystosowanie obiektu do przyjmowania ewentualnych gości.

Moi rozmówcy, opowiadając o nich, trochę się podśmiewali, ale z życzliwością, tak jak prawdziwi górale stroją sobie nieszkodliwe żarty z „bywszych miastowych”, którzy jednak jakoś wtopili się w miejscową społeczność, zyskując nie tyle szacunek, bo ten jest zarezerwowany wyłącznie dla swoich, ale właśnie taką żartobliwą sympatię. Kiedy kończyliśmy herbatkę i poczułem już pierwsze pozytywne wibracje, wywołane spożyciem cukru, odrobiny alkoholu i samej herbaty, ze sklepu skinął na nas brzuchaty jegomość i ruchem brody wskazał na tuzin kartonów stojących tuż przy drzwiach. Chciałem pomóc w ładowaniu ich na pakę, ale zanim odklepiłem plecy od przyjemnie rozgrzanej pierwszymi promieniami słońca ściany i zrobiłem dwa kroki, moi nowi przyjaciele już wtaszczyli wszystko na tył ratraka; na wierzchu wylądował mój plecak i deska w pokrowcu. Gestem zaprosili mnie do kabiny, gdzie siadłem sobie skromniutko z tyłu. Oni wpakowali się zaraz po mnie, wpuszczając do środka mroźne powietrze oraz swoje gorące oddechy, które świadczyły, że to raczej nie była ich pierwsza tego dnia herbatka, i ruszyliśmy. Najpierw prosto, a po minięciu Soblówki ratrak skręcił ostro w prawo i zaczął piąć się pod górę, w kierunku Wielkiej Rycerzowej, u podnóża której leżała bacówka, będąca ich pierwszym celem podróży.

Po czterdziestu pięciu minutach dotarliśmy na miejsce. Moi nowi koledzy szybko zrzucili cztery z dwunastu kartonów i pożegnali się ze mną wylewnie.

– Pogoda będzie jak złoto do czwartej co najmniej – zapewnił mnie starszy z nich. – Jakbyście zabałaganili gdzie po drodze, no to już może być różnie. Ale stąd do Wielkiej Raczy jest jakieś pięć godzin czerwonym szlakiem, zabłądzić trudno, a potem to już w dół do samego Zwardonia. Piechotą to też ze cztery godziny, ale na desce godzinka styknie. My dalej jedziemy, aż „Pod Lawinę”, ale bardziej dołem, bo szczytami nijak. Wy się nie krępujcie – zakończył ze śmiechem. – Do Przegibka macie ze dwieście metrów w dół, potem trzeba wleźć kawałek, sto metrów jakieś, a potem już tylko w dół. – Spojrzał na zegarek. – Dziewiąta dopiero, więc macie czas.

Faktycznie miałem czas. Dlatego w bacówce zjadłem wielką michę gorącej zupy; mimo wczesnej godziny nieliczni goście byli już po śniadaniu, ale w górach zupy gotują jak dla pułku wojska, więc sporo zostało. Pewnie starczy im wszystkim także na obiad. Zupa nazywała się po prostu „zupa”, coś pomiędzy żurkiem a krupnikiem; tłusta, smaczna, kaloryczna, a wsparta sporą porcją chleba ze smalcem powinna mi zapewnić dość energii życiowej na parę godzin.

Jeszcze w bacówce zmieniłem obuwie, swoje rebble pakując do plecaka, a na nogi wkładając buty dostosowane do miękkich wiązań. Można w nich prawie normalnie chodzić, chociaż szalu nie ma, ale w jeździe dobrze trzymają nogę i są naprawdę wygodne. A potem zarzuciłem plecak, na niego deskę w pokrowcu, wyszedłem na dwór i z mozołem podlaźłem sto metrów, żeby stanąć na szczycie Rycerzowej Wielkiej. Z westchnieniem ulgi klapnąłem na świeży śnieg i przez parę chwil rozglądałem się po najbliższej i nieco dalszej okolicy. Właściwie to rozglądałem się po prawie całym Beskidzie Żywieckim, tak daleko, jak mogłem sięgnąć moim minus jeden dioptrii wzrokiem. A że miałem okulary, więc sięgałem daleko.

Pogoda rzeczywiście była jak marzenie, mróz zaledwie kilka stopni poniżej zera, słońce już zaczynało grać, niebo prawie bez chmur, tylko na południu, gdzieś nad Słowacją, kłębił się niezbyt przyjemnie wyglądający wał. Ale nie zauważyłem, żeby szedł w moją stronę, poza tym gość od ratraka dawał gwarancję, że mam osiem godzin dobrych warunków, a ja nauczyłem się w sprawach górskiej pogody nie ufać nikomu prócz miejscowych górali.

Kiedy mimo bielizny termicznej poczułem lekkie drętwienie górnych końców dolnych kończyn, uznałem, że pora ruszyć dupę. Sięgnąłem po deskę i wyjąłem ją z pokrowca. Zasadniczo wolę zespół Deep Purple, ale kiedy zobaczyłem tę deskę w sklepie trzy lata temu, zakochałem się w niej bez pamięci. To był model od Burtona o wdzięcznej nazwie Easy Livin 155. Przy moich skromnych stu siedemdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu – liczonych w skarpetach i na gazecie – długość idealna do takiej jazdy, jaką preferowałem. Design poskładany został z fragmentów historii Led Zeppelin, a sama deseczka, miękka i doskonale wyprofilowana, stanowiła idealny przyrząd do jazdy po puchu i po stokach, na których nie ma nawet śladu wytyczonych tras. Po prostu bajka, o czym już wiele razy miałem okazję się przekonać.

Schowałem pokrowiec do plecaka, przypiąłem deskę, poprawiłem okulary na nosie, nasunąłem gogle, wstałem i...

Zanim dojechałem do przełęczy, byłem pewnie z osiem razy na Słowacji i z pięć razy na glebie, przy czym cztery razy plecami, a raz twarzą. No po prostu pełnia szczęścia, relaks, adrenaliny więcej jak juchy i wszystko pod kontrolą. Wreszcie pacnąłem na śnieg i zdecydowałem, że pora odpiąć deskę i podejść, bo Przegibek był najniższym położonym punktem na mojej trasie. Jednak zanim sięgnąłem do wiązań, w czystym górskim powietrzu doszedł do mnie znajomy odgłos. Koledzy z ratrakiem właśnie wracali, bo dźwięk narastał. Więc zamiast odpinać dechę, wstałem i prawie na kreczę, bez żadnych skrętów, dojechałem do schroniska. Dość wolno pod sam koniec, bo schronisko leży parę metrów wyżej niż przełęcz, ale na szczęście obeszło się bez hulajnogi; dla każdego snowboardzisty to jakaś tam mała plamka na honorze, kiedy musi wypiąć tylne wiązanie i odpychać się jak pięciolatek. Minutę po mnie pod budynek zajechał ratrak.

Zamachałem, a kierowca na mój widok przyhamował.

– Panowie, mogę liczyć na jeszcze jedną podwózkę? – zawołałem, przekrzykując huk diesla.

– A dokąd? – zainteresował się kierownik pojazdu.

– Z powrotem do bacówki!

– Tak wam ichnia zupa zasmakowała? – Zaśmiał się, jednocześnie ręką wykonując zapraszający gest.

Szybko odpiąłem deskę, wrzuciłem ją na pakę razem z plecakiem i wgramoliłem się do kabiny.

– Zupa była niezła, ale tak sobie pomyślałem, że śmignę jeszcze raz tą samą trasą. Dodatkowa godzinka niezłej jazdy, czemu więc nie skorzystać? – spytałem retorycznie. – Tym bardziej że nadarza się okazja.

Wysadzili mnie po pół godzinie tam, gdzie poprzednio; z trudem wcisnąłem im dychę, bo bronili się, twierdząc, że już im zapewniłem monopolową na wieczór, ale dali się przekonać, że

zgrzewka piwa na zapojkę nie zaszkodzi. Prawdziwi górale z takimi argumentami nie dyskutują. Pożegnali mnie jeszcze serdeczniej i pojechali w dół, żeby jak najszybciej odstawić pojazd, zamienić pozyskane środki płatnicze na środki płynne, niezbędne do przetrwania zimą w górach, i przystąpić do celebrowania końca pracowitego dnia oraz snucia miłych wspominków o hojnym darczyńcy, którego zapewne już nie zobaczą. Czego być może będą trochę żałować, ale w końcu lepsza flaszka w garści niż zwariowany snowboardzista na pace. Choć przecież w tym konkretnym przypadku jedno wynikało bezpośrednio z drugiego.

Drugi zjazd był jeszcze lepszy, bo poprzednio wypatrzyłem kilka ciekawych naturalnych hopek, ale nie wszystkie udało mi się zaliczyć. Kiedy ponownie wylądowałem na Przegibku, było już południe, ale nie żałowałem „straconej” godziny z okładem. Teraz czekało mnie podejście, ze dwieście metrów pod górę, więc odpiąłem deskę i zmieniłem buty, zakładając od razu raki, bo przeczuwałem, że mogą się przydać. Rzeczywiście, było ślisko jak diabli, a zmrożony i przewiany mocno śnieg mógłby sprawić mi przykrą niespodziankę. Zjechać z takiej wysokości to średnia przyjemność, pewnie przy odrobinie szczęścia utkwilibym w puchu paręnaście metrów niżej, ale z wygrzebaniem się mógłbym mieć problem. Przy braku szczęścia pojechałbym ze trzysta, czterysta metrów w dół, a może nawet, nie daj Bóg, do Słowacji. Nie żebym coś miał przeciwko temu pięknemu krajowi, ale po lewej było bardziej stromo i gdzieś tam pod śniegu wystawały samotne skały; kontakt z nimi mógłby być naprawdę przykry, zwłaszcza przy odpowiedniej – czy raczej nieodpowiedniej, bo zbyt dużej – prędkości.

Dlatego zachowywałem czujność i wspinałem się raczej wolniej niż szybciej. W rezultacie osiągnąłem wierzchołek kolejnej góry koło pierwszej trzydziści. I zaczęło mi się trochę spieszyć, bo wał chmur znad bratniego kraju zdecydowanie się przybliżył, na dokładkę mocno już dmuchało. Szybko zmieniłem buty, przypiąłem deskę i postanowiłem nie marnować więcej czasu, tylko dotrzeć jak najszybciej do Wielkiej Raczy, żeby mieć jeszcze godzinę dziennego światła na zjazd do Zwardonia. Nawet ja nie jestem takim idiotą, żeby zjeżdżać po ciemku, w nieznanym terenie i podczas z lekką załamującą się pogody. Niestety gdy się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy; mój prywatny diabeł ucieszył się dokładnie pół godziny później.

Jechałem właśnie frontsidem, czyli na przedniej krawędzi deski, po słowackiej stronie, kiedy nagły podmuch wiatru w plecy mocno mną zakolebał. Próbując odzyskać równowagę, przeszedłem na backside i zjechałem jednym długim ślizgiem ze dwadzieścia, może dwadzieścia pięć metrów w dół. Stok wydawał się gładki jak stół i pokryty co najmniej dwumetrową warstwą świeżego puchu, ale to było tylko złudzenie. Śnieg, owszem, był jak należy, tyle że wystawały spod niego ostre wierzchołki skał, może pozostałość po jakimś większym rumowisku. Jedną z nich dojrzałem pięć metrów przed sobą i wbiłem obie pięty mocno w deskę, żeby wyhamować. To był niestety błąd, bo gdybym docisnął tylko lewą albo prawą nogą, minąłbym kamulca wprawdzie tylko o centymetry, ale jednak w bezpiecznej odległości. W panice próbowałem zahamować całą krawędzią i prawie by mi się to udało, ale „prawie” robi czasami różnicę, którą można odczuć. Dość boleśnie.

Na szczęście nic sobie nie zrobiłem. Sobie. Bo decha zahaczyła krawędzią o skałę i aż jęknęła. Ja też jęknąłem, bo ewentualne uszkodzenie mojej ukochanej Easy Livin zaboląoby mnie pewnie bardziej niż ją. W końcu była deska. Włączyłem dodatkowy hamulec i klapnąłem tyłkiem na śnieg. Próbowałem jeszcze wesprzeć się na rękach, ale zapadłem się po łokcie. Dobrze, że praktycznie już się zatrzymałem, bo mógłbym tam zostawić obie łapy, albo co najmniej połamać je w stawach.

Wygramoliłem się i pełen najgorszych obaw odpiąłem deskę. Obejrzałem ślizg i zamarłem. W poprzek, dokładnie między wiązaniami, biegła paskudna rysa. Nie to było jednak najgorsze. Skała nie tylko rozorała ślizg, ale również uszkodziła krawędź, przerywając stalową listwę i wyrywając ją na długości dwudziestu centymetrów.

– No to sobie pojeżdżałem... – wymamrotałem zrozpaczony, oceniając skalę szkód, które wyrządziłem do spółki z kawałem schowanej pod śniegiem skały. O ile się znam na deskach, ta akurat była nie do uratowania, a na pewno nie dałoby się jej naprawić przy pomocy narzędzi, które miałem przy sobie; nie na tyle, żebym mógł normalnie jechać dalej. Puściłem pod nosem wiązanekę, głównie pod własnym adresem, chociaż temu wrednemu kamlotowi też się dostało. Słowa na „k”, na „ch” i na „dupa” krążyły przez chwilę w powietrzu, ale wiatr od słowackiej strony porwał je i uniósł ze sobą. A ja zostałem z problemem, którego nie dało się rozwiązać inaczej, jak tylko poprzez działanie skierowane bezpośrednio na jego rozwiązanie. Tu trzeba było wziąć się do roboty, a nie rozmyślać, bo zaczynało się robić naprawdę zimno i pogoda wyraźnie się pogarszała.

Wlazłem te trzydzieści metrów pod górę i zsunąłem się na tyłku parę metrów w dół, żeby znaleźć się po drugiej stronie grzbietu i chociaż trochę schronić się przed coraz mocniej zacinającym wiatrem. Wyjąłem z plecaka niezbędnik z kluczami i śrubokrętami i spróbowałem wcisnąć wyrwaną listwę z powrotem na miejsce. Jakoś mi się udało, ale na wszelki wypadek wzmocniłem konstrukcję gafferem wzdłuż krawędzi. Strzelać się z tego nie da, ale może da się powolutku dojechać na krawędź, czyli na pełnym ślizgu, żeby oszczędzić moją subtelną partaninkę. Kiedy byłem mniej więcej zadowolony z efektu, sięgnąłem po komórkę. Brak zasięgu. No, pięknie. Napisałem SMS-a do Aśki, że mam awarię sprzętu i żeby poczekała, aż zadzwonię, że już dotarłem na miejsce, no i że mogę być momentami poza zasięgiem. O dziwo – przeszedł. Pewnie dlatego, że chwilę wcześniej wstałem, wlazłem pod górkę i zacząłem wpinać deskę. Za chwilę przyszła odpowiedź: BSDIUNS. Nasz kod; znaczyło to „baw się dobrze i uważaj na siebie” w sensie dosłownym, a w sensie metaforycznym – że będzie czuwać, aż dam znać, że już się skończyłem „dobrze bawić”.

Za piętnaście trzecia ruszyłem mozolnie naprzód. Trochę jechałem, ale ostrożnie jak osiemdziesięciolatek, trochę szedłem, kiedy robiło się pod górkę. Od południa dał wiatr, niby ciepły, ale upału nie było, chociaż ja pocilem się cały czas. Po godzinie zdałem sobie sprawę, że nie mam szans, żeby dotrzeć do schroniska za jasnego, a po ciemku tym bardziej nie będę miał szans. Niby idąc grzbietem górskim, dość trudno zabłądzić, ale dość łatwo się stoczyć, bynajmniej nie w metaforycznym sensie. Zwłaszcza że z wiatrem nadpłynęły chmury i śnieg zaczął sypać dość poważnie, a widoczność spadła do dwudziestu metrów. Niedobrze.

Jeszcze przez pół godziny toczyłem nierówną walkę, aż wreszcie dałem za wygraną. Do Wielkiej Raczy w tym tempie i w tych warunkach pogodowych nie dojdę, choćby skały srały. Dlatego przypiąłem deskę i zdecydowałem się na pójście na skróty. Zostać w górach na noc to kiepski pomysł, ale zjechać w dół, z wiatrem w plecy, chyba jakoś dam radę. Taką przynajmniej miałem nadzieję. Na szczęście okazało się dość szybko, że nie musiałem tego sprawdzać empirycznie, bo mogłbym się rozczarować.

Szczęście... Mawiają, że jak ktoś ma pecha, to mu nawet w drewnianym kościele cegła na łeb spadnie, a jak ktoś ma szczęście, to i w szambie znajdzie sto złotych. Ja miałem szczęście niebywale; może nie te dwie godzinki temu, kiedy rozwalilem dechę, ale teraz – na pewno. Nawet nie zdążyłem się rozpędzić, kiedy wiatr nagle ucichł, śnieg na chwilę, dosłownie na ułamek sekundy, przestał walić, jakby wyczerpał zapas tych swoich cudownych gwiazdeczek, z których ponoć każda jest inna, a ja ujrzałem jakieś sto, może sto pięćdziesiąt metrów na prawo strunę światła. I to niejedną.

Zupełnie odruchowo docisnąłem palcami stóp przednią krawędź deski i łagodnym łukiem skierowałem się w tamtą stronę, dziękując jednocześnie wszystkim moim aniołom stróżom, że decyzji o zjeździe nie podjąłem dwie minuty później. Wtedy prawdopodobnie ominąłbym to przyjazne miejsce o dobre trzysta metrów i nie miałbym najmniejszej szansy, żeby dostrzec światła; blask padający z kilku okien, na kilku poziomach i w różnych kierunkach. Zaraz potem w duchu podziękowałem też nieznanemu mi jeszcze małżeństwu z Wrocławia, bo prawdopodobnie gdyby nie oni,

tych światła tutaj w ogóle by nie było. Według wszystkich znaków na ziemi – na niebie znaków brakowało, bo zasnuwały je ciężkie, brudne chmury, z których sypało jak kozie z dupy – miałem przed sobą stanicę „Pod Lawiną”. Nie widziałem naturalnie szyldu, nie w tych warunkach, ale to po prostu nie mogło być nic innego. Tutaj nie było nic innego.

Do celu zostało mi ze sto metrów, kiedy nagle powietrze za moimi plecami drgnęło. Raz, a potem drugi. Raz z lewej, a zaraz potem z prawej. Odruchowo obejrzałem się za siebie.

– Kurwa – powiedziałem dość głośno. W narastającym szumie i tak nikt by mnie nie usłyszał. Mogłem kląć, ile wlezie. – A chciałem się tylko oderwać na parę godzin...

Za moimi plecami góry, sycząc i trzeszcząc, ruszyły z miejsca. Z dwóch miejsc, dokładniej mówiąc. Najpierw majestatycznie, powoli, ale z każdą chwilą nabierając rozpędu, szły prosto na mnie i na położony poniżej „ostatni przyjazny dom”. Dwie lawiny, prawie równoległe zmierzające w moim kierunku. I w kierunku schroniska...

Przeszedłem na backside, żeby odbić trochę w lewo, nie bacząc na uszkodzoną listwę i zrypany ślizg, który w proteście zachrobotał na lekko zmrożonym śniegu. Taśma prawie natychmiast się odlepiła, ale jakimś cudem sama listwa została na swoim miejscu, może wciśnięta przez napór podłoża. Po kolejnych dwudziestu metrach, kiedy nabrałem prędkości i naprawdę się bałem, że zaraz ta nieszczęsna listwa wyrwie się z mięsem albo odegnie pod takim kątem, że wbije się w śnieg, wysadzając mnie z wiązań, ostrym skrętem przeszedłem na frontside. Mocno depnąłem na przednią nogę, pochyliłem się w przód i zszedłem do niskiego półprzysiadu. Spod deski przy zwrocie trysnęła fontanna śniegu, a ja jednym, ostro ciętym skrętem, sypiąc na pełnej prędkości, wyminąłem stanicę w odległości paru metrów od jej lewej ściany. Zauważyłem wielkie sople zwisające z dachu nad niewielkim tarasem, balkonem właściwie, położonym na najwyższym piętrze, dwa rozświetlone okna poniżej i cztery okna na parterze. Minąłem budynek na pełnej prędkości, wjechałem na niewielki placyk, pełniący funkcję podwórka, gdzie pięć czy sześć metrów od rogu domu zauważyłem małe podwyższenie, taki większy ganek, i maksymalnie ostrym skrętem na samych palcach, stawiając deskę prawie poziomo do stoku, wyhamowałem. Dokładnie na wysokości tegoż ganku, jakieś kilka kroków od niego. A zaraz potem padłem na twarz. Trochę na rękę, ale twarz miała niestety bliżej do podłoża. Zdecydowanie bliżej. Walnąłem tak, że aż mi gogle pękły. O dziwo okulary, które miałem pod spodem, nie wbiły mi się w gałki oczne, co uznałem za kolejny łut szczęścia.

Siła uderzenia wycisnęła mi z płuc całe powietrze, a żebra i przepona niemal natychmiast odmówiły dalszej współpracy. Leżałem więc i zdychałem, nie mogąc złapać oddechu i licząc w skrytości ducha, że budynek osłoni mnie i ochroni przed zasypaniem. Nigdy w życiu nie byłem przysypiany lawiną, ale nie miałem wątpliwości, że by mi się to nie spodobało. Nie pozwolę się zasypać także dzisiaj. Może jutro; dzisiaj na pewno nie.

Nagle poczułem, jak coś unosi mnie w górę. To znaczy próbuje unieść. Dać się porwać lawinie to kiepskie rozwiązanie, więc wczepiłem się palcami w zmrożony śnieg i zaparłem deską. I wtedy, tuż przy uchu, usłyszałem jakby śpiew anioła. Głos nieco schrypnięty, ale słowa precudne:

– Kurwa, puść się, człowieku, bo cię nie dźwignę!

Puściłem się i już po chwili stałem przed jakimś facetem. Miał metr dziewięćdziesiąt w kapeluszu, tyle że nie miał kapelusza, tylko krótko przystrzyżonego jeża. I najbardziej idiotyczny sweter, jaki w życiu widziałem, z najbardziej szkaradnymi reniferami na świecie, które miałem mniej więcej na wysokości twarzy. To chyba właśnie te renifery mnie uratowały, bo na ich widok parsknąłem śmiechem, organizm z lekka się rozluźnił i złapałem pierwszy od upadku haust powietrza.

Przez chwilę dyszałem jak parowóz, aż wreszcie wystękałem:

– Dzięki, brachu, życie mi uratowałeś.

Zarechotał.

– Bez przesady – rzucił niedbale. – Ale chodź do środka, bo nas zasypie.

Podniósł mnie za ramiona, jakbym ważył tyle, ile zawsze chciałem ważyć, zrobił w tył zwrot i w trzech krokach znalazł się przy szeroko otwartych drzwiach. Tu pojawił się mały problem, bo cały czas miałem obie nogi przypięte do deski. Generalnie właśnie dlatego wolę snowboard od nart, bo trzeba być niespełna rozumu, żeby przypiąć sobie każdą nogę do osobnej deski, skoro te deski mogą potem pojechać w dwie różne strony świata, ale jednak przy przechodzeniu... no dobra, przy przenoszeniu przez drzwi takie rozwiązanie mocno utrudnia sprawę. Ale to, co dla mnie było trudne, dla mojego wybawcy okazało się fraszką; przekreślił mnie w powietrzu i wniósł do wnętrza, zatrzasnął w przelocie drzwi potężnym kopniakiem. Zaraz za progiem postawił mnie na podłodze, ale chyba nie dlatego, że mu było ciężko. Obrócił się ku drzwiom i szybkim ruchem zatrzasnął wielką, drewnianą zasuwę.

Chwilę potem budynek zadrżał, a wszechogarniający szum stał się tak potężny, że nie słyszałem własnych myśli.

– Wytrzyma?! – wrzasnąłem, kiedy potężny facet znów odwrócił się w moją stronę.

– Chuj wie! – odkrzyknął.

Po minucie ja też już wiedziałem, chociaż nie mogłem rzec, że przekonałem się o tym na własne oczy, bo od ciepła w pomieszczeniu okulary całkiem mi zaparowały. Na zewnątrz zapanowała nagła i niespodziewana cisza, a chałupka stała dalej. Zadarłem głowę do góry, żeby widzieć pod szklami, gdzie celuję, i z radości klepnąłem mojego wybawcę w ramię. Kiedy chciał zrobić to samo, odsunąłem się. To znaczy chciałem się odsunąć, ale przez tę cholerną deskę mogłem tylko lekko się uchylić.

– Ty nie! – rzuciłem szybko. – Zabijesz człowieka...

W odpowiedz tylko się uśmiechnął.

– Adam Biegała – powiedział, wyciągając do mnie wielką grabę. – Dumny właściciel domu, który się oparł lawinie.

– Maciej Śłużyński – odparłem, ściskając mu dłoń. – I szczerze powiem, że naprawdę cholernie się cieszę z naszego spotkania.

– Myślę, że obaj mieliśmy dzisiaj trochę szczęścia – powiedział skromnie.

– Ja miałem bez wątpienia. A na czym polegało twoje szczęście? – zainteresowałem się. Nawet mi do głowy nie przyszło, by zwracać się do niego formalnie, per „panie Adamie”. Uratował mi życie, będę jego dożgonnym dłużnikiem – no chyba że odwdzięczę mu się tą samą walutą – a to wymuszało bliskość. Z kolei on – według jakiejś maksymy, mądrej, więc pewnie chińskiej – był od-tąd za mnie odpowiedzialny, za życie, które ocalił. Takie więzy doprawdy zacierają konwenanse jako zbędne pierdoły, utrudniające kontakty i konwersację. No krótko mówiąc, zaprzyjaźniliśmy się od owego pierwszego, zaczerpniętego przeze mnie po upadku haustu powietrza.

Adam tymczasem kontynuował swoje wywody.

– ...że akurat patrzyłem przez okno i cię zauważyłem, bo inaczej bym nie wyszedł.

– No to chyba raczej ja miałem szczęście, i to podwójne. Więcej szczęścia niż rozumu...

Oficyna wydawnicza RW2010 proponuje:

ANTOLOGIA „KRYMINALNA 13” to jedyny w swoim rodzaju projekt, firmujący pierwszy konkurs literacki organizowany przez Oficynę wydawniczą RW2010. Znaleźliśmy 13 specjalistów od zbrodni, 13 sprawdzonych fachowców od literackiej mokrej roboty i umieściliśmy ich zabójczo świetne opowiadania w jednym zbiorze. Zarazem poprosiliśmy szanowne autorskie grono, aby wzięło udział w pracach profesjonalnego, kompetentnego i niezależnego jury.

Medialny patronat nad konkursem objęła redakcja „Świt ebooków” oraz serwis literacki „Książka zamiast kwiatka”, platforma „Maszyna do pisania”, serwis „E-fantastyka”, „Kawiarenka kryminalna”, Portal Rynku Wydawniczego „Wydawca”.

Zapraszam do lektury naszej antologii. Prezentujemy wysmakowany zestaw opowiadań kryminalnych i sensacyjnych, podlanych tajemnicą, doprawionych szczyptą fantastyki, zbiór tekstów na wskroś współczesnych oraz sięgających w przeszłość, a nawet dotykających wydarzeń i postaci historycznych. Przed Wami ponad 250 stron, 13 autorów i jeden motyw...

Krzysztof Golczak: SZCZĘŚCIARZ

Przy każdym morderstwie odpowiedzi na wszystkie pytania znają dwie osoby: sprawca i ofiara.

Po samobójstwie partnera podkomisarz Robert Jastrzębski próbuje odnaleźć się w nowej dla niego rzeczywistości. Przymusowy urlop nie przynosi oczekiwanych rezultatów. Pozostaje liczyć na to, że kolejne dochodzenie przy wsparciu młodych sił śledczych poprawi sytuację. W Poznaniu, niemal pod nosem komendy, ktoś zastrzelił spokojnego biznesmena w jego własnym mieszkaniu. Wszystko wskazuje na to, że ofiara jest przypadkowa, a raczej nic sugeruje istnienia racjonalnego motywu zbrodni.

Trudna sprawa komplikuje się jeszcze bardziej, kiedy w równie niejasnych okolicznościach ginie osoba powiązana z ofiarą. Żmudne, drobiazgowo śledztwo nabiera nowego wymiaru. Czyżby Jastrzębskiemu trafił się pierwszy seryjny zabójca w jego długiej policyjnej karierze? A może to niezwykły zbieg okoliczności? Czy kontakty podkomisarza z miejskim półświatkiem zaowocują obiecującymi tropami? A może inteligentny, cyniczny i dotąd skuteczny podkomisarz poniesie spektakularną porażkę? Szczęście zdaje się sprzyjać sprawcy, pech przesładuje policję, a nieregulaminy flirt z niesfornym świadkiem grozi kłopotami.

„Szczęściarz” to miejski kryminał w starym dobrym stylu. Policjant, ofiara, śledztwo, morderca. Dobro kontra zło. I jeszcze coś pomiędzy...

Grzegorz Bartos: CUKIERECZEK

Poszukiwanie, które staje się obsesją, mężczyzna, który nie ma czasu do stracenia, i kobieta, dla której warto żyć.

Gerard Burzyński, policjant z wydziału dochodzeniowo-śledczego radomskiej Jedyńki prowadzi prywatne śledztwo w sprawie zaginięcia Eweliny Frankowskiej – byłej mistrzyni kickboxingu. Przemierza zakamarki „miasta z wyrokiem”, jego zaułki, ślepe ulice, torowiska, Planty. Poszukiwanie Cukiereczka to dla niego znacznie więcej niż praca, więcej niż zadanie – w grę wchodzi uczu-

cie. Czeka go niełatwa przeprawa, bowiem porywacz, postać z cienia, obdarzył swoją ofiarę równie silnym afektem.

„Współczuję temu, kto spróbuje jej zrobić krzywdę” – mówi o Frankowskiej jej stary trener. Cukiereczek walczy od trzynastego roku życia. Dziewczyna, która wychowała się w najgorszej dzielnicy miasta, weszła na sam szczyt sportów walki i... zrezygnowała. Dlaczego? „Pies z martwego miasta”, szukając tropów, dotyka niejednej tajemnicy związanej z byłą mistrzynią. A zegar tyka. Gerard ma coraz mniej czasu, aby odkryć, kto jest stalkerem.

„Cukiereczek” to thriller o obsesji. Powieść kryminalna o poszukiwaniu odpowiedzi. Przejmujący obraz szaleństwa i portret miasta skazanego na śmierć.

Sebastian Imielski: SZKOŁA NA WZGÓRZU

Szkoła uczy i karze niepokornych.

Posada w Zespole Szkół w Sławinie jest dla Sylwestra Cichego szansą na nowy początek po osobistych niepowodzeniach. Młody nauczyciel szybko przekonuje się, że życie na kaszubskiej prowincji dalekie jest od sielanki. Szkoła – zarządzana surową ręką przez małżeństwo Mechów – kryje w sobie wiele tajemnic. Bohater zagłębia się w nie, gdy w nieznanych okolicznościach przepada bez wieści jedna z uczennic.

Wbrew dyrekcji szkoły Cichy angażuje się w poszukiwania. Analizuje historię placówki i odkrywa, że dwadzieścia pięć lat wcześniej zniknęła i nigdy nie została odnaleziona inna dziewczyna. Belfer przekonany, iż przypadki obu uczennic się łączą, prowadzi swoje dochodzenie. Pomaga mu dziennikarz trójmiejskiego brukowca Karol Zawada, przed laty zajmujący się sprawą zaginionej uczennicy.

Co się stało z dziewczynami? Zostały porwane? Czy jeszcze żyją? A może uciekły, jak sugeruje policja? Nerwowe reakcje pewnych osób oraz dramatyczny rozwój wydarzeń dowodzą, że badanie przeszłości Sławina wyraźnie komuś zagraża. Czyżby na terenie spokojnego miasteczka grasował morderca? Cichy i Zawada są pewni swoich teorii – dlatego z narażeniem zdrowia, a nawet życia angażują się w jego zdemaskowanie.

„Szkoła na wzgórzu” to zgrabne połączenie powieści detektywistycznej i obyczajowej. W małomiasteczkowej scenerii rozgrywają się wielkie dramaty i rozciągnięte w czasie tragedie.

Maciej Żytowiecki: MÓJ PRYWATNY DEMON

Chicago, 1939 rok. Miastem wstrząsa seria mordów. Tajemniczy zabójca zbiera krwawe żniwo wśród pracujących dziewcząt, pozostawiając charakterystycznie okaleczone ciała. Przywrócony do służby detektyw Ezra ma mało czasu, żeby rozwiązać zagadkę. Najpierw jednak musi zmierzyć się ze swoimi demonami – być może sam jest bardziej niebezpieczny niż wszyscy zbrodniarze świata. Od brudnych zaułków Chicago, po kraniec wszechświata... Kryminał fantastyczny, jakiego jeszcze nie było.

Marian Kowalski: MROczne DZIEDZICTWO

Spotykają się na zjeździe poświęconym zjawiskom nadprzyrodzonym. Daniel jest sceptycznym niemieckim dziennikarzem, żyjącym terazniejszością, nieczującym związku z rodziną i jej historią. Ire-

na to polska rzeźbiarka, za którą ciągnie się tren odległej przeszłości. Mroczna scheda po przodkach nie daje o sobie zapomnieć. Ma wpływ na jej obecne życie oraz na losy związanych z nią mężczyzn. Na plenerze rzeźbi posążek swej dalekiej krewnej spalonej na stosie; duch kasztelanek – opiekuńczy? żądny zemsty? – wciąż jej towarzyszy.

W powieści przewija się wątek Inkwizycji i procesów budowanych na pomówieniach; pojawiają się postaci „czarownic”, ich bezlitosnych sędziów, oraz potomków jednych i drugich.

W historii pełnej tajemnic nie może zabraknąć motywu ukrytego skarbu, sporów rodzinnych sprzed wieków prowadzących do okrutnej śmierci i nagłych a niejasnych zgonów w teraźniejszości. Wiele tu legend, aluzji, dywagacji oraz... uczucia. „Mroczne dziedzictwo” to niesamowita opowieść o miłości, przeznaczeniu, szukaniu miejsca w życiu, to historia intrygująca i fascynująca.

Marian Kowalski: STRAŻNICY ZMARŁYCH

Zbiór opowiadań sensacyjno-kryminalnych, głównie o tematyce marynistycznej, w której bohaterami są marynarze, piękne kobiety, chciwi piraci i okrutni esbecy. To opowieści ze zbrodnią w tle, uwodzące klimatem tajemnicy, egzotyki; inne historie porażają historyczną prawdą oglądaną z okna lub... opatrzoną kryptonimem. Dzięki lekturze zagłębia się w tygiel skrytych żądz, marzeń, których spełnienie może oznaczać śmierć. Twoją lub cudzą. Dlatego: uważaj, czego pragniesz. Strażnicy zmarłych czuwają.

Akcja tytułowych „Strażników zmarłych” toczy się na redzie portu nigeryjskiego Lagos. Na statku Oban dochodzi do morderstwa. W Nigerii ogłoszono stan wojenny i policja nie może przypląć; przeprowadzenie śledztwa kapitan powierza zatem stewardowi Ramsdellowi, który z wykształcenia jest... logikiem.

Marian Kowalski: WOŁANIE MEW

Powieść obyczajowa z wątkami thrillera i fantastyki. Przedstawia losy celebrytki i modelki Ingi Bral wpisane w ponurą morską legendę o mewach z duszami topielców.

Inga i Joachim Krafft żyją banalnie, zmysłowo. On – Mazur z pochodzenia – dobrze wszedł w wielkomijski pejzaż, ona – córka polskiego marynarza – nie zadowala się tym, co ma, pragnie czegoś więcej niż podziw mężczyzn i niesłabnące pożądania kochanka-opiekuna. Nie wystarcza jej dostępne szczęście i osiągnięta już stabilizacja. Pełna sprzeczności, dążeń i pretensji do świata nie potrafi spokojnie żyć u boku Joachima. Chce czegoś dokonać, zasłużyć na... nieśmiertelność. Pragnie zostać dziennikarką, marzy o rejsie jachtem. Ale gdy w końcu namawia Joachima na wyprawę po Morzu Północnym, rzeczywistość i wszechobecne mewy napawają ją lękiem...

Na chwilę znajduje wytchnienie wśród norweskich fiordów, u boku dwóch zauroczonych nią mężczyzn. W odmiennym krajobrazie wierzy, że odnajdzie cel. Tu wszystko ma swą nazwę, głębszy sens, nie sprowadza się tylko do seksu. Ale i tu są mewy, tajemnice i dziwna, czająca się wśród wrzosowisk i bagien groza. Może od przeznaczenia nie da się uciec...? Jak to się skończy, czy Inga znajdzie to, czego szukała, czy odmieni swoje życie, nagrywając wymarzoną świąteczną audycję o ludziach morza?

Jan Siwmir: ŻABEŁ TROJAŃSKI

Powieść kryminalna z mocnym tłem obyczajowym. Historia dwóch inteligentów na samym dnie drabiny społecznej. Wygadany Żabeł i ambitny Maryśka zostają wyrobnikami na obczyźnie. Muszą się przystosować nie tylko do walijskich realiów i ciężkiej pracy fizycznej, ale i do stylu życia oraz poczucia humoru obowiązującego w rejonach z pogranicza klasy robotniczej, marginesu i jaskiniowców. A przy tym mają niełatwe zadanie: rozwiązać sprawę tajemniczych zaginięć Polaków na Wyspach...

Prolog dodaje powieści „poetyckich barw”, a epilog – zaskakuje.

Tomasz Mróz: FABRYKA WTÓRÓW

Wielki ponury budynek w centrum miasta, ginący w szarej kotłownianinie chmur. Nikt w okolicy nie wie, co się tam mieści, i nikt tego wiedzieć nie chce. Ci, którzy dostali się do wnętrza dziwnej budowli, znikają, by po jakimś czasie powrócić – ale zupełnie odmienieni. Strażnik Instytutu przegania wścibskich natrętów, lecz jeśli już ktoś pozna tajemnicę, nie ma drogi odwrotu. Co się wydarzyło setki lat temu na dalekiej Syberii? Kim jest człowiek w czarnej pelerynie biegnący do tramwaju? Czy można przekazać swe życie komuś innemu?

Wedrzyj się do „Fabryki wtórów”, poznaj jej sekrety. Lecz pamiętaj, kto przekroczy progi Fabryki, już nigdy nie będzie taki jak wcześniej.

„Fabryka wtórów” to powieść kryminalna z elementami thrillera i science-fiction, tradycyjnie dla serii z Komisarzem Wątrobą, okraszona dużą dawką humoru i kpiny. Komisarz swoim zwyczajem nie daje za wygraną, dopóki nie dotrze do istoty problemu.

Tomasz Mróz: PRZEJŚCIE A8

Kryminał nie z tego świata. Mamy tu: tajemnicze zabójstwa, kuszenie, cyrografy, złote sztabki, walkę dobra ze złem, satyrę i pełne ironii obserwacje rzeczywistości..

Przejście A8 to kryminał paranormalny, w którym miesza Nowak. Przygotujcie się na spotkanie z komisarzem Wątrobą (w roli kuszonego), posterunkowym Chwiejczakiem (niezlomnym) i nieśmiertelną ławeczkową trójcę (Pająk, Marian i Stalowy), która postanawia iść... do pracy. Cud boży? Raczej szatańskie sztuczki.

Co zrobić, kiedy w twoim życiu pojawi się Nowak? Jak uchronić się przed jego knowaniami, bandą arabskich górników oraz fanatyzmem Bolka z działu marketingu? Jakie zalety ma mały mózg w dużej głowie? W „Przejściu A8” zostały połączone rzeczy straszne i śmieszne, płytkie i głębokie oraz wysokie i niskie. Wynik jest zaskakująco pozytywny oraz pozytywnie zaskakujący.

Tomasz Mróz: SZARY CIEŃ

Mylne tropy, zjawiska paranormalne, półświatek, którego życie koncentruje się w miejscowym parku – to sceneria powieści *Szary cień*. Historia dziwnego zgonu i jeszcze dziwniejszego podejrzanego kładzie się cieniem na życiu komisarza Wątroby i posterunkowego Chwiejczaka, nie dając im spokoju przez lata.

W salonie zaniedbanej przedwojennej willi zostaje znalezione ciało młodego człowieka. Z zebranych informacji wynika, że był on związany z tajemniczą sektą religijną. Okoliczności zdarzenia

i brak śladów walki wskazują na samobójstwo, jednak symboliczne ułożenie zwłok, niejasne zeznania świadków, jak również sny prowadzącego śledztwo – podsycają podejrzenia, że było to morderstwo. W tym samym czasie w pobliskim parku trwają poszukiwania sprawcy brutalnego pobicia włóczęgi. Policjanci nie umieją, a może nie chcą połączyć tych dwóch faktów. Dopiero upływ lat, wyrzuty sumienia i... nuda starości powodują, że komisarz Wątroba i posterunkowy Chwiejczak postanawiają rozwiązać starą sprawę.

„Błędy się mszczą przez całe życie” – ta sentencja sprawdza się i tym razem, a osoba tytułowego Szarego cienia jest właśnie takim życiowym błędem sprawców zbrodni.

Tomasz Mróz: PRZYPADKOWY ZABÓJCA

Jedno z ekstremistycznych brytyjskich ugrupowań politycznych przygotowuje zamach na premiera Wielkiej Brytanii podczas jego wizyty w Polsce. Jednak domniemany płatny zabójca, Polak z pochodzenia, okazuje się nie być tym, za kogo się podawał. Wykorzystując podobieństwo do rzeczywistego mordercy, inkasuje kilkaset tysięcy funtów zaliczki, aby uciec swoim zleceniodawcom i rozpocząć nowe życie – z dala od kraju rodzinnego i polskiego „piekielka” emigrantów na Wyspach Brytyjskich. Realizuje swój plan aż do momentu, kiedy pojawia się dziwny, nieziemski opiekun, deklarujący pomoc w planowanym zabójstwie.

Brytyjskie służby specjalne wraz z londyńską policją, w postaci panów Smitha i Livera, śledzą wynajętego mordercę przez całą Europę. Akcja po kilku dniach przenosi się z Londynu do polskiego miasta, w którym ma dojść do zamachu. Komisarz Wątroba wraz ze swoim zespołem zostaje wciągnięty wsieć politycznych intryg, grę tajnych służb i... demonów z piekła rodem.

Ela Graf: AGENCJA DIMOON. TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO UMRZE OSTATNI.

Viaville to spokojne miasto, rodzina Colona zaprowadziła tu porządek kilka lat temu, eliminując niemal całkowicie konkurencję. Ale nie tylko włoska mafia rządzi miastem i chroni tych, którzy się jej podporządkują. Istnieje w Viaville organizacja o wiele potężniejsza, starsza, lepiej ukryta. Ci, którzy do niej należą lub są jej protegowanymi, nie muszą się obawiać prawie niczego. W razie drobnego problemu z prawem pomoże im Agencja Dimoon.

Robert Dimoon jest najlepszym detektywem na całym Złotym Wybrzeżu. Pomagają mu w tym niewątpliwie jego paranormalne zdolności oraz liczni znajomi z wielu, bardzo zróżnicowanych kręgów...

Jednak lato 2002 roku nawet dla niego okaże się niezwykle gorące i burzliwe. Jego spokój zmaczą nie tylko tajemnicze morderstwa i dziwne zagadki kryminalne, lecz także budząca się prastara, potężna moc, zagrażająca ustanowionemu od dawna porządkowi...

Katarzyna Uznańska: ZIEMIĄ WYPEŁNISZ JEJ USTA

Gdy łowca staje się ofiarą...

Królewskie miasto nie zasypia nigdy, ale dopiero po zmroku budzą się jego upiory. Łowca, skryty w cieniu starych kamienic, poluje na samotne kobiety, by podzielić się ich ciałami z rzeką. Ta noc będzie dla niego wyzwaniem – z prześladowcy stanie się ofiarą. Utarty schemat życia Łowcy rozpadnie się w pył, gdy mężczyźni przyjdzie zmagać się z podobną mu, choć o wiele potężniejszą istotą – estrią.

Ina – polska szlachcianka – egzystuje od wieków pod postacią żydowskiego demona; czuje jednak, że jej czas dobiega końca. Wybrała Łowcę na powiernika swojej historii, a może kogoś znacznie więcej...

W powieści terażniejszość splata się z historią i mitem, tworząc współczesną baśń o ludzkich pragnieniach i przekraczaniu granic w pogoni za ich zaspokojeniem.